

Polityka wobec historii, historiografia wobec polityki: PRL i III Rzeczpospolita

9 października 2001 r. w redakcji „Pamięci i Sprawiedliwości” odbyła się dyskusja wokół tez dr. hab. Andrzeja Friszke zawartych w artykule *Spór o PRL w III Rzeczypospolitej (1989–2001)*, publikowanym w tym numerze naszego pisma. W dyskusji obok Autora uczestniczyli również dr hab. Edmund Dmitrów, dr Antoni Dudek, dr hab. Paweł Machcewicz, prof. dr hab. Andrzej Paczkowski oraz prof. dr hab. Jerzy Wiatr.

Edmund Dmitrów – W imieniu redakcji wznawianego właśnie czasopisma „Pamięć i Sprawiedliwość” witam panów na tym spotkaniu. Cel tej dyskusji można sprowadzić do dwóch spraw. Po pierwsze, ma być to refleksja na temat przebiegu sporów wokół historii PRL, po drugie, byłoby dobrze, gdyby nasze spotkanie stało się forum do zaprezentowania poglądów w konkretnych sprawach, które są przedmiotem owych sporów. Wiemy dobrze, że stosunek wobec komunistycznej przeszłości jest w Polsce zróżnicowany. Wśród najwyraźniejszych tendencji wymienić można takie, jak ucieczka od przeszłości, poszukiwanie złożonej prawdy o przeszłości, próby pogodzenia różnych ujęć przeszłości, czyli dokonania swoistej konwergencji pamięci, czy wreszcie dążenie do bezkompromisowego „sądu nad przeszłością”. Proponuję, byśmy skupili uwagę na historiografii, uzupełniając ją ustaleniami innych nauk społecznych oraz publicystyką. Warto byłoby też pomówić o wzajemnych relacjach historiografii i polityki w Polsce powojennej, a zwłaszcza o tym, jaki charakter miały te relacje, jaka była ich dynamika oraz co z nich wynikało. PRL dostarczyła, jak wiadomo, licznych dowodów wykorzystywania historii do różnych celów politycznych, przede wszystkim w celu legitymizacji władzy, jak to określił Jerzy Szacki – w celu zapewnienia komunistom narodowej prawomocności historycznej.

Jako wprowadzenie do dyskusji przedstawiliśmy panom studium Andrzeja Friszke, który, przypomnę, sprowadza istotę sporów o PRL do dwóch kwestii. Pierwsza, czym była Polska w latach komunistycznych. Druga, jakie zachowania i postawy w tym czasie należy uznać za właściwe, jakie zaś były naganne. Pozwoliłem sobie sformułować listę pytań, które mogłyby nadawać kierunek naszej dyskusji. Na początek postawmy może pytanie, jak należy ocenić dorobek historiografii przed 1989 r. w zakresie poznania historii PRL, jakie luki, jakie pytania, niezbadane tajemnice, błędy i fałszerstwa pozostawiła ona w spadku. Krótko mówiąc, w jakim stopniu w momencie upadku PRL trzeba było zacząć pisać od

nowa jej historię. Warto też, jak sądzę, zastanowić się, w jakich kierunkach rozwijały się interpretacje tej historii po zmianie ustroju, jak dalece są one kompletne i spójne wewnętrznie, wokół jakich problemów toczyły się spory. Wedle ustaleń pana Andrzeja Friszke dotyczyły one przede wszystkim trzech kwestii. Po pierwsze, czy PRL była formą państwowości polskiej, czy formą radzieckiej okupacji Polski. Z tego pytania wynika następne. Jaką rolę odegrali komuniści polscy w historii kraju, właściwie od 1939 do 1989 r. Drugie ważne pytanie, czy w całym okresie, od 1944 do 1989 r., panował w Polsce system totalitarny, w jakim stopniu podlegał on zmianom, jakie czynniki powodowały jego ewolucję. I po trzecie – czy epoka PRL przyniosła Polsce postęp i modernizację, czy też regres w życiu społeczno-gospodarczym. Jakie stanowiska w powyższych kwestiach dałyby się wyodrębnić? Kolejne ważne pytanie – na jakich pojęciach i kryteriach opierały się interpretacje historii PRL po 1989 r. Jaką rolę odgrywały w nich zwłaszcza takie pojęcia jak totalitaryzm, uzależnienie czy sowietyzacja.

Przypominam sobie jedno z konwersatoriów prowadzonych w ISP PAN, było to w grudniu 1990 r. Temat konwersatorium brzmiał: Czy Polska była państwem totalitarnym? Pani prof. Krystyna Kersten przedstawiła wtedy referat wprowadzający do dyskusji i stwierdziła, cytując, że „koncept totalitaryzmu stosowany do systemu PRL zamazuje rzecz tak kardynalną, jak brak suwerenności i podporządkowanie ZSRR”. Należałoby być może zastanowić się, jak daleko posunęliśmy się w poznaniu i rozumieniu historii PRL przez dziesięć lat, które upłynęły od tamtej interesującej i ważnej, moim zdaniem, dyskusji. Kolejny blok spraw – do jakich ocen doprowadziły sformułowane do tej pory interpretacje, na jakich kryteriach opierały się te oceny, jaką rolę w interpretacjach historyków odgrywają kryteria moralne, do jakich wartości moralnych odwołują się autorzy interpretacji, czyli w jakim stopniu zmieniają się te kryteria. Kolejne pytania, które wydają mi się godne uwagi, dotyczą relacji między oficjalnymi ujęciami historii, prezentowanymi między innymi przez historiografię, a spontanicznymi wyobrażeniami ludzi o tym, jak było. Czy i w jakim wymiarze to, co piszą historycy, pokrywa się ze spontaniczną, jak to się mówi, jednostkową pamięcią Polaków. Jak dalece historiografia odzwierciedla z kolei tak zwaną pamięć zbiorową, w jakim stopniu zgodne są oceny przeszłości, a w jakim pokrywają się kryteria stosowane na różnych poziomach myślenia o historii. Na koniec postawiłbym pytanie, jaka jest zdaniem panów rola obrachunków z okresem PRL w procesie kształtowania demokratycznej tożsamości społeczeństwa polskiego. W tym kontekście może warto zwrócić uwagę na często wskazywany przez socjologów, politologów trudny problem, jeden z wielu, przed jakimi stoją władze w okresie transformacji – otóż wiadomo, że ich dążeniem jest zdobycie autorytetu, co w zasadniczym stopniu zależy od delegitymizacji wcześniejszych instytucji. Owa delegitymizacja dokonuje się między innymi przez rewizję obrazu historii, ale z drugiej strony autorytet, o który zabiegają instytucje demokratyczne, zależy także od tego, aby ludzie nie odczuli, że delegitymizacja instytucji pozbawia wartości ich samych, wręcz przeciwnie, żeby mogli wzmocnić poczucie własnej wartości. Oto jest problem: jak osądzić PRL, ale przy tym nie godzić w poczucie wartości milionów obywateli tamtej Polski. W jakim stopniu problem ten znajduje swoje odbicie w historiografii. Tę listę pytań można oczywiście poszerzać, ale myślę, że to na początek wystarczy. Zapraszam panów do wypowiedzi.

Andrzej Paczkowski – Najpierw chciałbym się odnieść do artykułu Andrzeja Friszke, który jest w pewnym sensie wprowadzeniem do naszej dyskusji. Jest to tekst o „sporze o PRL”, a nie o badaniach nad PRL. I tego właśnie żałuję. Jeżeli nawet któryś z badaczy ma ogólny pogląd na temat PRL, nie oznacza to, że w każdej swojej pracy – monografii, wykładzie uniwersyteckim czy publikacji źródłowej – odnosi się do tego sporu, a więc znalazł się poza zainteresowaniami autora. Jako przykład mogę podać Łukasza Kamińskiego, który jest autorem jednej z najważniejszych w ciągu ostatnich lat książek (*Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948*), a który nie brał udziału, zapewne z uwagi na wiek, w debatach na temat PRL-u, organizowanych przez różne czasopisma i środowiska naukowe osiem czy sześć lat temu. Jest wiele pozycji, które nie zawierają *explicite* elementów „sporu o PRL”, ale *implicite* przez same nawet fakty, które podają, są elementem niezbędnym do bilansu.

Istnieje więc problem, w jakim stopniu można opisać „spór o PRL”, ograniczając się do wypowiedzi wprost odnoszących się do debaty. Stawiam też zarzut o zbyt powierzchowne potraktowanie tematu, gdyż Andrzej Friszke wymienia niektóre książki o charakterze syntetycznym, traktując je jako głos w owej debacie, a innych tego samego rodzaju nie wspomina. Pisze więc o pracy Antoniego Czubińskiego, ale przecież – lepsze lub gorsze – próby syntez podjęli też Jerzy Eisler, Zbigniew J. Hirsz, Wojciech Roszkowski czy mówiący te słowa. Chciałbym się tu upomnieć o szersze potraktowanie określenia „spór o PRL” i uzupełnienie go o analizę – na tyle szczegółową, na ile jest to konieczne – po prostu stanu badań czy też stanu historiografii dziejów najnowszych. Tym bardziej że najlepiej widoczna dla szerszej publiczności (a zatem i dla historyków) część debaty toczy się na poziomie publicystycznym czy wręcz politycznym. Ten właśnie element debaty ujął Paweł Śpiewak w obszernym tomie *Spór o Polskę 1989–1999* (fragment części III nosi tytuł *Czym był PRL?*; na marginesie: zwracam uwagę na zmianę płci Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a tytuł ów powinien brzmieć *Czym była PRL?*). Być może warto byłoby – a uważam, że nie tylko warto, ale potrzeba – spróbować dyskusji nad stanem badań. Kilka lat temu dyskusja taka publikowana była w „Odrze”. Jestem zdania, że przy tym tempie badań, z jakim mamy do czynienia, należy to czynić stosunkowo często. Między innymi dlatego, że pojawiło się nowe zjawisko, mianowicie stosunkowo szybki przyrost licznych badań nad historią społeczną czy też mikrohistorią. Przeglądy takie pozwalają nie tylko ocenić to, co zostało zrobione (jest to w gruncie rzeczy sprawa mniej ważna), ale także określić obszary, które powinno się badać – badania takie rozpocząć lub intensyfikować. Mam wrażenie, że w młodszym (lub „średniostarszym”) pokoleniu historyków bardziej „modne” są takie tematy, jak mentalność zbiorowa, psychologia społeczna, postawy – mówiąc językiem marksizmu-leninizmu – klas uciskanych, z tym że w naszym przypadku uciskanych w komunizmie. Za jednego z pionierów należy uznać amerykańskiego historyka Padraicka Kenneya, autora książki *Rebuilding Poland*, która nie wiadomo dlaczego nie została do tej pory przetłumaczona na polski. Tak więc problem nie tylko w tym, żeby wyłowić najważniejsze „punkty zapalne” debaty, ale zejść na poziom monografii, publikacji źródłowych czy nawet prac czysto przyczynkowych.

Jeżeli chodzi o dorobek sprzed 1989 r., upomniałbym się o uwzględnienie tego, co nie jest dorobkiem historyków, ale stało się materiałem źródłowym. Nie

jest to wyłącznie ukłon w stronę pana profesora Jerzego Wiatra, ale mam na myśli dorobek polskiej socjologii z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, która opisała bardzo wiele rzeczy, w tym także w skali mikro: urzędnicy w Polsce Ludowej, rola brygadzysty i majstra w fabryce itd. Jest to duży obszar, przez historyków do tej pory słabo badany, a niezależnie od tego, co we wstęпах do tych książek autorzy pisali, materiał empiryczny jest ogromny. Ponadto pozwalała przesunąć badania – a więc również „spór o PRL” – z płaszczyzny czysto politycznej na społeczną. Jeżeli bowiem chcemy pisać, w jaki sposób zachowywały się jakieś grupy społeczne, to dobrze jest wiedzieć, jak były skonstruowane, jak się zmieniły itd. Na przykład badania Marii Pasztor i Dariusza Jarosza na temat plotek i pogłoszek można by korelować z socjologiczną wiedzą o grupach, w których pogłoski takie krążyły. O ile nie ma chyba większego sensu zaadaptowanie do naszych badań monografii Władysława Góry i Ważniewskiego, o tyle pozytywne może być zajrzenie chociażby do serii monografii o zawodach redagowanej przez Jana Szczepańskiego. Wydaje mi się, że monografie te są o wiele bardziej przydatne dla historyka niż kolejne książki Góry pisane wedle zasady „od plenum do plenum”. To, co działo się na górnych szczeblach, w elicie władzy, możemy nieźle poznać na podstawie materiałów archiwalnych, a badań nad grupami społecznymi w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych nie da się chyba przeprowadzić bez tego, co zrobili wówczas socjologowie czy etnografowie.

O ile historiografia oficjalna sprzed 1980 r. (nieco inaczej jest z tym, co było publikowane w latach osiemdziesiątych) absolutnie nie broni się, nie trzyma standardów, o tyle spora część wyników pracy socjologów jest do wykorzystania. Tamtą historiografię – a przynajmniej jej lwią część – można badać jako fragment działań perswazyjnych czy wręcz indoktrynacyjnych. Nie wiem, czy prace ekonomistów można wykorzystywać w podobny sposób jak socjologów. Być może niektóre badania mikrograficzne. To, że część dorobku socjologów jest użyteczna, także może być przedmiotem badań, które zapoczątkowała Nina Kraśko. Jest to bowiem jakieś świadectwo polityki naukowej, a więc i polityki w ogóle. To, że polska socjologia po 1956 r. była tak dalece „zamerykanizowana” pod względem warsztatowym, wynikało najpewniej ze zmian ogólnopolitycznych, które wtedy zachodziły. Ale mogło to być także kwestią przypadku czy „sily przebicia” liderów tych badań.

Nie chciałbym się odnosić do tych poszczególnych punktów przedstawionych przez moderatora naszej dyskusji i mówić, jaka jest moja opinia na przykład na temat, czy Polska była, czy nie była krajem totalitarnym. Odniosłem się więc tylko do problemu samych badań – tego, co jest badane, a w związku z tym postuluję, aby poświęcić chwilę temu, co powinno być badane, wskazać miejsca, które są białymi plamami. Nie myślę o białych (czy „czerwonych”) plamach w historii, ale po prostu o lukach w naszej wiedzy. Przykład: potrzebowałem zbiorczych danych o stratach polskich w czasie okupacji nazistowskiej i w literaturze syntetycznej – nawet tej najnowszej (jak w książce Czesława Łuczaka) – znajdowałem wiele znaków zapytania; zadzwoniłem więc do Czesława Madajczyka, specjalisty w tej dziedzinie, aby dowiedzieć się, że dane, którymi wciąż się operuje, są mało wiarygodne, oparte na nieprecyzyjnych szacunkach, wykonywanych pod presją motywacji czasem politycznych, czasem narodowych lub patriotycznych – jak kto woli. Razem ze Stanisławem Ciesielskim i Wojciechem Materskim borykaliśmy się – z nader umiarkowanym powodze-

niem – z ustaleniem strat ludnościowych wynikłych z działań sowieckich. Podobne białe plamy pojawiają się w różnych miejscach. Dyskusja (czy raczej kłótnia) nad książką Jana Grossa też pokazała, ile jest jeszcze białych plam. Tyle na razie luźnych uwag na temat historiografii i miejsca „sporu o PRL” w badaniach. Spór ten nie powinien zastąpić badań, choć oczywiście badania bez takiego sporu pozbawione są „pieprzu”.

Edmund Dmitrów – Ja chciałem wtrącić tylko jedno zdanie tytułem uściślenia swojej wypowiedzi. Nie wiem, do jakiego stopnia panowie byliby skłonni przyjąć sformułowane przeze mnie założenie. Mianowicie, mówiąc spór czy debata wokół PRL-u, nie oddzielałbym publicystyki, dyskusji publicznych od twórczości naukowej, od historiografii w ścisłym tego słowa znaczeniu, ponieważ uważam, że każda książka oparta na badaniach naukowych jest głosem w sporze, jest interpretacją, która konfrontuje się z innymi, a zatem, być może, powinniśmy to łącznie traktować.

Paweł Machcewicz – Kilka słów o sporze wokół PRL w nawiązaniu do tekstu Andrzeja Friszke i jednego z wątków wypowiedzi Andrzeja Paczkowskiego. Zgadzam się z tym, że spór o PRL odbywał się głównie w wymiarze nie tyle badań naukowych, ile przede wszystkim w wymiarze dyskusji publicystycznej, politycznej czy ideowej. Jest pewnym paradoksem, że najbardziej wyraziste stanowiska były formułowane nie tyle przez historyków, jako wynik ich badań naukowych opartych na kwerendach archiwalnych, ile w wypowiedziach raczej o charakterze publicystycznym, wygłaszanych bądź przez historyków, ale często przez publicystów, socjologów czy wręcz polityków. Jeżeli w tym sporze brali udział historycy, to niekoniecznie ci, którzy prowadzili badania naukowe dotyczące PRL. Jednym z głównych dyskutantów w sporze o PRL, a konkretnie w sporze o miejsce opozycji w PRL, był prof. Tomasz Strzembosz, który jest wybitnym historykiem, ale okresu przede wszystkim drugiej wojny światowej, a nie PRL. Jedną z najbardziej zapładniających intelektualnie, a jednocześnie kontrowersyjnych teorii na temat systemu PRL wniósł Andrzej Walicki, który jest filozofem; mam na myśli jego koncepcję dotyczącą totalitaryzmu i tego, jak dalece PRL była państwem totalitarnym.

Moja teza jest taka: jeżeli historycy brali udział w tych dyskusjach, głosząc wyraziste poglądy, często nie miało to bezpośredniego związku z ich badaniami naukowymi. Na potrzeby naszej dyskusji rozdzieliłbym coś, co nazywamy sporem o PRL, który się toczył przy znacznym zainteresowaniu opinii publicznej, czy przynajmniej jej części, od mniej spektakularnego, mniej widocznego wysiłku stopniowego narastania kolejnych monografii, będących wynikiem badań naukowych. W moim przekonaniu po 1989 r. powstało przynajmniej kilkadziesiąt wartościowych prac opartych na rzetelnych badaniach naukowych i wiele z nich można pośrednio uznać za bardzo krytyczne wobec PRL-u czy wręcz za oskarżenie PRL-u, ale one często nawet nie były zauważane w tych debatach toczących się publicznie. I zastanawiam się, czy mamy w ogóle jakąś pracę napisaną przez zawodowych historyków, która by otwarcie koncentrowała się na czymś, co można by nazwać bilansem PRL-u. Jest książka Andrzeja Paczkowskiego *Pół wieku dziejów Polski*, ale mimo wszystko jest to dla mnie bardziej opis poszczególnych faz PRL-u niż skoncentrowanie się na bilansie.

Andrzej Paczkowski – Wtrączę się jako autor. Książka ta nie ma zakończenia, w którym byłby taki bilans, i była to zupełnie świadoma decyzja.

Paweł Machcewicz – Jest książka Antoniego Czubińskiego, kilka jej kolejnych wydań, ale zrab jest ten sam (jedna z ostatnich wersji: *Historia Polski XX wieku*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2000). I tutaj już bardziej mamy do czynienia z elementami bilansu, mimo wszystko jednoznacznie pozytywnego – dla autora, tylko że moja ocena naukowa tej książki jest bardzo krytyczna i moim zdaniem nie stanowi ona podstawy do rzetelnej dyskusji na temat PRL-u. Wydaje mi się, że jest tylko jedna książka, która podejmuje świadomie jako główny swój wątek problem bilansu PRL-u, porównując PRL z okresem dwudziestolecia międzywojennego, dotyczy ona, paradoksalnie, historii gospodarczej. Myślę o pracy Zbigniewa Landaua i Wojciecha Roszkowskiego *Polityka gospodarcza II RP i PRL* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995). Jest to ciekawa intelektualnie propozycja, ale odosobniona na tle historiografii i w ogóle dyskusji na temat PRL-u.

Jerzy Wiatr – Tekst Andrzeja Friszke przeczytałem z zainteresowaniem, bardzo mi się podobał i niemal ze wszystkim, co jest w tym tekście, zgadzam się, a ponieważ już padły różne interesujące głosy, więc jest do czego nawiązać. Pierwsza kwestia to ocena historiografii. W tej dyskusji są dwa wątki. Dyskusja o PRL i dyskusja o historiografii. Jest rzeczą niewątpliwą i wręcz banalną, że po 1989 r. nastąpił wręcz skok jakościowy w stanie historiografii dotyczącej tamtego okresu. Dziwne byłoby, gdyby tak nie było, bo przecież jest rzeczą zrozumiałą, że usunięcie przeszkód natury politycznej musiało zaowocować zasadniczą poprawą stanu wiedzy. Natomiast wydaje mi się, że również w okresie PRL, choć oczywiście w stopniu nieporównanie słabszym niż w ciągu ostatnich dwunastu lat, pokazywały się prace, które można uznać za wartościowy element poznania tamtego okresu. To, co powiedział pan prof. Paczkowski na temat socjologii, uważam za całkowicie trafne i cenne, ja bym tylko rozszerzył to o te bardziej historycznie zorientowane szkoły socjologiczne. To, co robiła szkoła krakowska Kazimierza Dobrowolskiego, te czterdzieści kilka lat obserwacji wsi Ochotnica, to jest w istocie swego rodzaju warsztat historyka. Socjologa zorientowanego historycznie. To jest szkoła Bujaka, bo Dobrowolski był kontynuatorem i uczniem Bujaka, i cała jego szkoła szła w tym kierunku. Tak samo to, co Chałasiński zrobił w drugiej edycji pamiętników młodzieży chłopskiej, jest przecież niewątpliwie bardzo cenne, i gdyby odcedzić wszystko, co było koniunkturalnymi i w pewnej mierze propagandowymi wtrętami w ocenę tego materiału, to sam materiał jest kopalnią wiedzy o tamtym okresie. Jest to prawda, ale teraz, skoro już tyle dobrego o socjologii powiedziano, chciałbym się upomnieć o niektóre prace historyków. Przykładowo – była praca Zenobiusza Kozika o PZPR w latach 1956–1957. Chodzi o okres wychodzenia ze stalinizmu. Praca, która, zdaje mi się, nie była wznawiana.

Andrzej Paczkowski – Andrzej Friszke w swoim tekście napisał, i całkowicie się z nim zgadzam, że to, co działo się w tak zwanej oficjalnej historiografii w latach osiemdziesiątych, jest „inną jakością” w porównaniu z poprzednimi okresami. Nie znaczy to, że nie publikowano także ideologicznie słusznych knotów czy nawet fałszerstw.

Jerzy Wiatr – Tak, pan mi to wyjął z ust. Chodzi mi o to, że oczywiście w 1989 r. następuje przełom, skok jakościowy, to jest bezsporne i tego nikt nie kwestionuje, ale druga strona zagadnienia polega na tym, że poprzednia historiografia okresu PRL-owskiego, również w odniesieniu do PRL-u, jest inna pod koniec istnienia ludowego państwa, a inna wcześniej. Tak samo jak jest ona in-

na w odniesieniu do okresu międzywojennego, gdzie ta różnica rysuje się może jeszcze ostrzej. Książki, które ukazywały się w latach osiemdziesiątych, czy nawet pod koniec lat siedemdziesiątych, na przykład Henryka Zielińskiego *Historia Polski 1914–1939*, są zupełnie inne niż to, co się ukazywało na temat Polski międzywojennej wcześniej, czyli pewien postęp w kierunku większego obiektywizmu odbywał się już wtedy, chociaż najważniejsze jest to, czego nikt nie kwestionuje, że przełom nastąpił po 1989 r. Skoro mamy do czynienia z przełomem, to pytanie bardziej kontrowersyjne w tym wypadku nie o historię, ale o historiografię, jest takie: Czy ten przełom jest wyłącznie pozytywny? Że jest pozytywny, to powiedziałem, ale czy jest wyłącznie pozytywny. Czy w odniesieniu do tej historiografii, już z okresu III Rzeczypospolitej, ale odnoszącej się do okresu PRL, nie można stawiać pewnych zarzutów? Moim zdaniem – można. Uważam, że na tej historiografii, a przynajmniej jej sporej części, ciąży, choć w zmienionych warunkach, podobna tendencja jak ta, która występowała silniej, bardziej brutalnie w oficjalnej historiografii PRL-owskiej. Jest to traktowanie historiografii nie tylko jako naukowego poznania historii niedawno minionej, ale jako instrumentu kształtowania świadomości z założoną tezą. Zdaję sobie sprawę, że zwłaszcza w odniesieniu do historii najnowszej nie można odmawiać historykowi prawa formułowania ocen moralnych. To nie jest zarzut, który byłbym skłonny stawiać, że źle jest formułować oceny moralne. W wielu z tych prac brakuje refleksji nad tym, czy możliwe jest zastosowanie innej oceny moralnej do tych samych wydarzeń. Przykładem może być dyskusja o stanie wojennym. Jeżeli pominać stronę faktograficzną, jeżeli przejść na poziom ocen, to doskonale rozumiem, że historyk, który był sam zaangażowany po stronie ówczesnej opozycji, nie będzie dzisiaj pisał o stanie wojennym w sposób całkowicie wyprany z własnych ocen moralnych, a nawet emocjonalnych. Chodzi o to, czy nie powinien próbować również przedstawić, jakie były moralne przesłanki działań innych. Inaczej mówiąc, czy nie można mówić w ten sposób: tak, myśmy mieli rację, także w sensie moralnym, przeciwstawiając się istniejącemu systemowi. Ci, którzy byli po przeciwnej stronie, a w każdym razie ci, do których taki bardziej wnikliwy osąd moralny by się stosował, też mieli określone racje, ponieważ byli przekonani, że w ten sposób chronią Polskę przed katastrofą. Uważam, że w dużej części historiografii najnowszej, choć nie w całej, występuje pewne pomieszanie ról historyka i prokuratora. Rozumiem, że zadaniem prokuratora nie jest bronienie oskarżonego, do tego oskarżony ma swojego adwokata, natomiast czy historyk ma być prokuratorem? Oczywiście, może być. Czy ma być katem, to jest sprawa odrębna. Pewnej pikanterii nadaje jej to, że nie ma kata, ponieważ katem mógłby być naród, gdyby przyjął takie oceny i w głosowaniu wyeliminował obwinionych o zdrady narodowe z życia publicznego. Jak wiadać, naród tej roli kata nie chce odegrać. Mówiąc serio, myślę, że jak się będzie kiedyś, z odleglejszej perspektywy patrzyło na historiografię dzisiejszą, dotyczącą tamtego okresu, to ci, którzy będą to robili po nas, będą mieli bardziej zdystansowany stosunek, będą zadawali sobie takie pytanie, czemu historycy polscy pierwszych lat po przełomie nie potrafili na okres PRL patrzeć tak, jak na przykład patrzą historycy na okres Polski stanisławowskiej. Historyk Polski stanisławowskiej nie przeczy temu, że konfederaci barscy byli patriotami, ale nie twierdzi, że Familia to była banda zdrajców, karierowiczów, łobuzów, którym o nic więcej nie chodziło, jak tylko o utrzymanie się przy władzy czy przy przy-

wilejach. Rozumiem, dlaczego tak jest. Nikt z nas, pisząc o Polsce stanisławowskiej, nie pisze o sobie. A pisząc o PRL piszemy o sobie, więc w sposób zupełnie naturalny jesteśmy w to zaangażowani.

Paweł Machcewicz – Wysunął pan tezę, że ta historiografia w dużej mierze jest narzędziem kształtowania rzeczywistości współczesnej. Czy mógłby pan profesor powiedzieć konkretnie, które książki Pan ma na myśli, które teksty, których historyków?

Jerzy Wiatr – Na przykład książki Wojciecha Roszkowskiego – zarówno jego własną, jak i tę napisaną razem z Anną Radziwiłł. Nie mam ich pod ręką, ale gdybyśmy je wzięli, to można by cytować całe fragmenty, które napisane są tak właśnie, jakby historyk był posiadaczem absolutnej racji moralnej. I to ja nazywam stanowiskiem prokuratorskim.

Paweł Machcewicz – Czy pan profesor uważa, że główny nurt historiografii jest tym grzechem prokuratorskim obciążony, bo zarzut przez pana sformułowany brzmi bardzo mocno?

Jerzy Wiatr – Co pan ma na myśli mówiąc o głównym nurcie? Gdybyśmy brali pod uwagę liczbę różnych publikacji, nie autorów, to zapewne nie, gdybyśmy natomiast rozpatrywali prominentnych autorów, to na pewno tak. Wskutek określonej polityki przez długi czas w środkach masowego przekazu najbardziej nośne były stanowiska tych historyków, którzy przyjmowali postawę absolutnych sędziów moralnych. Na przykład prominentność prof. Roszkowskiego jest nieproporcjonalna, w moim przekonaniu, do jego warsztatu naukowego. Dam następujący przykład. Gdy przewodniczyłem Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej (pan prof. Paczkowski był jednym z ekspertów), została przedstawiona ekspertyza Krystyny Kerstenowej. Ekspertyza, która miała 150 stron, kończyła się konkluzją, że ani w świetle dzisiejszej wiedzy, czyli wiedzy z 1995 r., kiedy ekspertyza powstawała, ani w świetle ówczesnej wiedzy nie można ani wykluczyć, ani przyjąć hipotezy, iż Polsce groziła interwencja radziecka. To jest bardzo istotne, bo w takim postępowaniu przyjęcie tezy historyka, że nie można wykluczyć interwencji, byłoby dla każdego sądu wystarczającym dowodem, że ten, kto podejmując działania liczył się z tą interwencją, miał za sobą poważne racje. Środki masowego przekazu w istocie rzeczy to stanowisko Kerstenowej zbyły milczeniem. Nie zapraszano jej do telewizji, by mówiła o pracach komisji. Pan profesor Paczkowski był znacznie częściej do telewizji proszony, ale pana pogląd był inny. Mnie nie chodzi o to, kto miał rację w tym sporze, tylko w tej chwili odpowiadam na pytanie, jak i co tu było dominujące. Oczywiście, jeżeli będziemy patrzyli na książki i artykuły, nie był to nurt dominujący, natomiast jeżeli będziemy patrzyli na to, co było lansowane, co miało taki placet nieoficjalnego biura prasy, to jedna sprawa...

Andrzej Paczkowski – Wydaje mi się, że pan – i bardzo wiele innych osób – postrzega rzeczywistość lat dziewięćdziesiątych jednak przez analogię do czasów Stefana Olszowskiego czy nawet Jerzego Urbana. Komisja, której pan przewodniczył, zakończyła pracę w 1996 r. i sprawę rozpatrywał sejm, wówczas gdy większość w parlamencie miała koalicja SLD-PSL, prezydentem był Aleksander Kwaśniewski, telewizja była już oczyszczona z tak zwanych pampersów, nie było Walendziaka i taki stan trwa aż do dziś. Jestem pewien, bo często występowałem w telewizji, że nie było – i chyba nie ma – tam żadnego „biura prasy”. Po prostu dziennikarze telewizyjni wedle swojego rozeznania, choć pewnie nie

chcąc iść na wojnę z szefami, wybierają sobie rozmówców lub komentatorów. Ponieważ większość tych dziennikarzy należy do pokolenia, które związało się z „Solidarnością” lub jej „poboczami” (takimi jak NZS), albo uczulona jest na to, co nazywano odkłamywaniem historii, mają oni więc naturalną inklinację zwracania się do osób, które utożsamiają z (pierwszą) „Solidarnością” czy opozycją demokratyczną. Dlatego Andrzej Friszke jest częściej indagowany niż Antoni Czubiński, a ja częściej niż Henryk Dominiczak. Ale to nie wygląda tak, że gdzieś ktoś – nawet w samej telewizji – jakiś urząd czy jakaś osoba mówi: nagrajcie materiał z tym czy z tamtym, a omijajcie X lub Y. Proszę nie stosować takiej analogii.

Jerzy Wiatr – Tak. Panie profesorze, ja oczywiście wiem, co się zmieniło w strukturze instytucji, ale opisuję pewne zjawisko. Oczywiście sympatie środowiska dziennikarskiego mają tutaj coś do rzeczy, także model prywatyzacji gazet też ma coś do rzeczy, bo na przykład „Rzeczpospolita” jest pismem określonej orientacji politycznej. Gdy zestawia się zasoby przekazane w środkach przekazu orientacji wywodzącej się z dawnej opozycji i zasoby przekazane siłom, które wywodzą się z dawnego systemu władzy PRL, dysproporcja jest kolosalna. I można powiedzieć, że rząd, w którym kiedyś zasiadałem, może się pochwalić tym, że nie wykorzystał swojej władzy, by to zmienić. Ja na przykład nie wycofałem podręczników Roszkowskiego z listy podręczników, chociaż mogłem to zrobić. Nie uczyniłem tego w odróżnieniu od ministrów, którzy tak postępowali przede mną i po mnie.

Antoni Dudek – Panie profesorze, które podręczniki wycofywano?

Jerzy Wiatr – Po 1997 r. Ministerstwo Edukacji Narodowej odmówiło zgody na wznowienie poprawionej wersji podręcznika prof. Garlickiego. Wycofano go nie z księgarni, tylko z programów szkolnych. Uważam, że to akurat dobrze świadczy o naszym rządzie, iż tego nie robił i mam nadzieję, że nowy rząd, który niedługo powstanie, też tak będzie postępował. Myślę, że jeżeli rzeczywiście będziemy liczyli książki i artykuły, to zjawisko, które ja nazywam historią w tonacji prokuratorskiej, nie dominuje; to środki przekazu powodują, że ta tendencja pojawia się znacznie mocniej. Na przykład w moim artykule w „Gazecie Wyborczej” nie chodziło o to, co się dzieje w samym środowisku historyków, tylko o to, jak spory o historię funkcjonują w świadomości zbiorowej. Jeszcze raz chcę jasno przedstawić swój pogląd: nie mówię, że jest źle, kiedy wykorzystuje się argumenty historyczne do kształtowania pewnej świadomości. Tak zawsze w istocie rzeczy było, i to jest normalne. Istnieje jednak różnica między przedstawianiem przeszłości wartościującym – ale tak, że stara się zastosować swego rodzaju empatię w stosunku do innych niż własne postaw – a nastawieniem prokuratorskim.

Czy w tym zapale prokuratorskim nie dokonuje się nowych selekcji? Otóż, moim zdaniem, czasami się dokonuje. Dostałem od panów „Biuletyn IPN”, który przeczytałem z zainteresowaniem, posłużyć się więc przykładem z „Biuletynu”. Jest tam wywiad z Pawłem Piotrowskim o Wojsku Polskim. Każde zdanie w tym wywiadzie jest w porządku. Niezwykle interesujący byłby jednak do rozważenia moment, jak zachowywali się wojskowi polscy w październiku 1956 r. Jaka była rola generałów Hibnera, Komara, Freya-Bieleckiego czy admirała Wiśniewskiego? O tym w ogóle się nie mówi. Pan Piotrowski mógłby oczywiście powiedzieć, że mu nie zadano takiego pytania. Wtedy oczywiście pojawia się pytanie, dlaczego pani Barbara Polak, pytając go o różne rzeczy, nawet o zmiany,

jakie zaszły po 1956 r., nie zahaczyła o tę kwestię. A przecież to dotyczy dość fundamentalnej sprawy: zachowania polskich komunistów w obliczu bezpośredniego zagrożenia Polski interwencją radziecką. Możliwe, że dla zrozumienia roli komunistów w tym okresie ma jakieś znaczenie fakt, że ci wszyscy generałowie, którzy przygotowywali się do fizycznej obrony na wypadek interwencji, to byli przedwojenni komuniści.

Antoni Dudek – Chciałbym zadać panu pytanie, wiążące się z pańską wypowiedzią i tekstem opublikowanym w książce *Polska pod rządami PZPR*. Z jednej strony chwali pan tam Cyrankiewicza za to, że obsadził stanowiska w Wojsku Polskim generałami, którzy chcieli bronić Polski przed interwencją sowiecką. Z drugiej zaś broni pan jak niepodległości generała Jaruzelskiego, który w istocie rzeczy zachował się w 1981 r. odwrotnie. Nie rozumiem więc: albo dobry jest generał Jaruzelski, bo był „realistą”, albo dobrzy byli ci generałowie z 1956 r.

Jerzy Wiatr – Moja teza jest taka: dwa razy Polska była zagrożona interwencją radziecką – w 1956 i 1981 r. W obu przypadkach inna była rola tego, kto stał na czele państwa formalnie bądź faktycznie – w 1956 r. Gomułki, a w 1981 r. Jaruzelskiego, a inna była tych, co byli niżej, nawet na dość wysokich stanowiskach. Od Hibnera, Komara czy Freya-Bieleckiego nie zależało, czy do interwencji dojdzie. Byli gotowi zginąć, gdyby do niej doszło. Mówienie o nich „zdrajcy” i wrzucanie ich do jednego worka z Fejginem czy Świątłą jest moim zdaniem nikczemnością.

Paweł Machcewicz – A kto tak mówi?

Jerzy Wiatr – Ci, którzy całą PZPR uważają za „nurt zdrady narodowej”. Podałem to przede wszystkim jednak jako przykład, że taka prokuratorska tonacja powoduje powstanie nowych białych plam. Myślę o postawie wojska i o incydencie, który generał Hibner opisuje w swoim wywiadzie. Zebrani na zjeździe Dąbrowszczacy chcieli dostać broń, żeby mogli bronić Warszawy tak jak Madrytu. Dlaczego o tym się nie pisze? Bo to nie pasuje do schematu, a schemat jest uwarunkowany odpowiedzią na pytanie – czym była PRL. Oczywiście PRL była niesuwerennym państwem. Prawdopodobnie bezsporne jest również to, że różny był stopień tej niesuwerenności. Rok 1956 jest tu ważnym przedziałem. Mnie chodzi jednak o coś innego. Z faktu niesuwerenności PRL mogą wynikać bardzo różne wnioski. Polska stała się niesuwerenna w wyniku wojny. Dla ludzi, którzy wchodzili w dorosłe życie po wojnie, był to stan dany. Polacy w niewielkim tylko stopniu mieli na to wpływ. Decydował ZSRR i przyczyniły się do tego mocarstwa zachodnie. Z faktu tego można było wyciągać bardzo różne wnioski. Można było w ramach tego systemu poszerzać granice swobód, można było go totalnie zwalczać. Moja pretensja do pewnej części historiografii polega na tym, że feruje ona oceny moralne, tak jakby tylko powstańcza postawa była moralnie zasadna. Mówiąc o postawie powstańczej, używam rzecz jasna pewnego skrótu. Działalność KOR-u nie była powstaniem. Chodzi o postawę odrzucenia systemu. Osobiście mam duży szacunek dla tej postawy. Wymagała ona na ogół większej odwagi osobistej niż działanie w ramach systemu. Jedyny właściwie wyjątek to był okres stalinowski, gdy Mariana Spychalskiego za polonizowanie wojska omal nie postawiono przed plutonem egzekucyjnym, a jego los – czy los Wacława Komara – po uwięzieniu był dramatyczniejszy niż opozycjonistów w latach siedemdziesiątych.

Jak już powiedziałem, to że postawa opozycyjna zasługuje na szczególnie wysoką ocenę moralną, nie jest kontrowersyjne. Natomiast można zapytać, czy działanie w ramach systemu, postawa realistyczna, również zasługuje na szacunek. Moim zdaniem tak, pod warunkiem, że to działanie nie było powodowane oportunistycznym. Pod warunkiem że starano się w istniejących warunkach zrobić wszystko, co możliwe dla Polski. W tym kontekście mówię o 1956 r., bo to jest ważne. To między innymi postawy wojskowych, ale nie tylko ich. Aktyw partyjny Uniwersytetu Warszawskiego, składający się z młodych asystentów i studentów, stworzył grupę ochotników, która w razie potrzeby miała jechać na Żerań i walczyć wspólnie z robotnikami. Zaręczam państwu, że w tym działaniu zawarte było większe ryzyko niż podczas rozdawania gazetki opozycyjnych w latach osiemdziesiątych.

Tak więc sposób, w jaki dokonuje się wartościowania postaw, może być przedmiotem dyskusji. Jest też kwestia totalitaryzmu. W tekście pana profesora Friszke jest uwaga, moim zdaniem, bardzo ważna: założenie, że system był totalitarny od początku do końca, można uwzględnić jedynie przy innej niż stosowana w nauce definicji totalitaryzmu. Z tym że jeśli się inaczej zdefiniuje totalitaryzm, to wszystko można inaczej zdefiniować. Pytaniem jest, czy ten rodzaj zabiegów jest heurystycznie sensowny. Antoni Czubiński tak przededefiniował pojęcie niepodległości, że wyszło mu, iż obecnie Polska nie jest niepodległa, a niepodległa była tylko w latach dwudziestych. On bowiem zdefiniował niepodległość jako osamotnienie. Więc oczywiście można tak działać, tylko po co? Sądzę, że można przeprowadzić sensowny podział między totalitarnym a nietotalitarnym okresem istnienia PRL. Wydaje mi się jednak jeszcze ważniejsze analizowanie tego, co się nazywa elementami totalitarnymi czy tendencją totalitarną w nietotalitarnym okresie. Wtedy kiedy system jeszcze nie jest totalitarny lub już nie jest totalitarny. W końcu lat trzydziestych w Polsce występowała tendencja totalitarna.

Andrzej Paczkowski – Po śmierci Piłsudskiego.

Jerzy Wiatr – Oczywiście. Podpisałbym się pod takim zdaniem: Polska w latach trzydziestych nie była jeszcze państwem totalitarnym. Czy stałaby się, gdyby nie doszło do wojny, tego się nigdy nie dowiemy.

Andrzej Paczkowski – Jest takie dobre francuskie powiedzenie *tentation totalitaire*, pokusa – ale nie tendencja – totalitarna.

Jerzy Wiatr – Jednak, moim zdaniem, kiedy się mówi o PRL znacznie bardziej interesujące jest wskazanie, że nawet wtedy, kiedy system nie był totalitarny, „pokusa totalitarna” istniała. Mówienie o „pokusie totalitarnej” pozwala również wskazać, gdzie istniała pokusa antyttotalitarna. Oczywiście, opozycja demokratyczna była antyttotalitarna, oczywiście Kościół był antyttotalitarny. Jednocześnie jednak nurt demokratyczny, antyttotalitarny istniał również w obozie władzy. Należałoby więc, zamiast mówić o totalitaryzmie od początku do końca, wyróżnić fazę totalitarną i fazę nietotalitarną. Jeżeli zamiast mówić o totalitaryzmie od początku do końca, będzie się odróżniało fazę totalitarną i fazę nietotalitarną, to odtworzy się możliwość podjęcia ważnego dla zrozumienia tego okresu problemu – ścierania się tendencji totalitarnej i antyttotalitarnej w systemie władzy.

W gruncie rzeczy nie chodziło o to, czy to byli reformatorzy, głównie chodziło o to, czy to byli antyttotalitaryści. Może wyrażam się niezbyt jasno, ale niektórzy zwolennicy tendencji totalitarnej też byli reformatorami. Mogli na przy-

kład postulować reformę struktury państwa, a ta reforma wcale nie stanowiła przeszkody w realizacji pokusy totalitarnej.

Chciałbym jeszcze odnieść się do dwóch spraw. Pierwsza, wyraźnie zaznaczona w tekście, to kwestia: „postęp cywilizacyjny – czy regres”. W tym wypadku, moim zdaniem, mamy do czynienia ze zbitką dwóch pytań. Z pytaniem, czy w latach 1945–1989 dokonał się postęp cywilizacyjny, i z pytaniem, czy postęp ten nie mógłby być większy, gdyby były inne warunki. Na to drugie pytanie odpowiedź jest bezsporna. Gdyby Polska nie znalazła się w orbicie wpływów ZSRR, postęp byłby większy i dzisiaj byłibyśmy dalej. Porównania z Grecją są więc jak najbardziej na miejscu. Stwierdzenie to nie daje jednak odpowiedzi na pytanie pierwsze: czy się w ogóle dokonał postęp. Czy postęp cywilizacyjny jest tylko funkcją czasu? Jeśli tak, to można stwierdzić, że wszędzie upływ czasu przynosi postęp. Moim zdaniem tak nie jest. Jako przykład mogę podać Argentynę. W Argentynie w omawianym okresie dokonał się nie postęp, lecz regres. Argentyna w 1945 r. znajdowała się znacznie wyżej przy uwzględnieniu wszystkich wskaźników rozwoju cywilizacyjnego na tle innych krajów, będąc jednym z najlepiej rozwiniętych krajów i potem poleciała na łeb na szyję.

Antoni Dudek – Bo świat się szybciej rozwijał.

Jerzy Wiatr – Nie tylko dlatego, że świat się szybciej rozwijał. Również dlatego, że w Argentynie zaszły różne zjawiska regresywne, w znacznej mierze związane z populistyczną dyktaturą Perona.

Antoni Dudek – Czy chce Pan przez to powiedzieć, że w 1989 r. Argentyna znajdowała się na niższym poziomie rozwoju niż w 1945 r.? To byłaby bardzo ryzykowna teza.

Jerzy Wiatr – Nie, oczywiście że 1989 r. w Argentynie były na przykład komputery, a w 1945 r. ich nie było. Natomiast z całą pewnością w 1989 r. Argentyna znajdowała się niżej niż kraje o podobnej sytuacji wyjściowej. Jeśli więc porównamy Polskę z Grecją, porównanie wypadnie dla Polski niekorzystnie, ale jak porównamy z Argentyną, wypadnie dla Polski korzystnie. Łatwo się zgodzić, nie kwestionując w ogóle rozwoju w PRL, że rozwój ten mógłby być większy w innych warunkach. Przy przyjęciu takiego założenia, warto się zastanowić, co w tych warunkach było głównym czynnikiem hamującym. Widzę przynajmniej dwa takie czynniki. Pierwszym był typ ustroju, który został Polsce narzucony. Drugim czynnikiem było odcięcie od Zachodu i przykucie Polski do ZSRR. Jugosławia byłaby dobrym punktem odniesienia. Tam był również system komunistyczny, ale Jugosławia dokonała niewątpliwie większego postępu niż Polska ze względu na większe otwarcie na zewnątrz. Okoliczność ta wskazuje na prymat zależności od ZSRR jako główne źródło wad systemu.

Andrzej Paczkowski – Myślę, że czynnik polskiej tradycji miał również znaczenie uwsteczniające.

Jerzy Wiatr – Nie chcąc uciekać od problemów związanych z 1981 r. powiem, dlaczego rok 1981 jest takim szczególnie kontrowersyjnym punktem w tych dyskusjach. Po pierwsze, jego chronologiczna bliskość powoduje, iż w tę dyskusję angażują się także ludzie młodszy. Dla mnie zarówno rok 1981, jak i 1956 są częścią mojej biografii. Rozumiem jednak, że dla części panów 1956 r. to są „czasy napoleońskie”, a 1981 r. jest częścią panów biografii. Rozumiem, że to może stwarzać napięcie. Jest jednak coś głębszego. W 1956 r., i to chyba najbardziej odróżnia 1956 rok od roku 1981, żadna istotna część społeczeństwa pol-

skiego nie opowiadała się za obaleniem systemu i zerwaniem ze Związkiem Radzieckim. W 1956 r. nie było takiej siły politycznej.

W 1981 r. sytuacja była inna. W 1956 r. Moskwa chciała zapobiec dokonaniu zmian przez kierownictwo PZPR, które uważało je za niezbędne i które cieszyły się poparciem większości politycznie czynnych Polaków. Natomiast w 1981 r. większość politycznie czynnych Polaków, niekoniecznie ogół społeczeństwa, domagała się zasadniczej zmiany systemu. Okoliczność ta stawiała władzę w innej sytuacji. W 1956 r. rządzący mieli spore pole manewru, które Gomułka i jego ekipa wykorzystali, ostatecznie marnując efekty tego kompromisu w latach następnych. W 1981 r. pole kompromisu właściwie zniknęło. W momencie kiedy Jaruzelski nie mógł zrealizować jakiejś koncepcji współrządzenia, alternatywą był albo stan wojenny, albo interwencja. Tak ja to widzę, zdając sobie sprawę, że jest to punkt widzenia subiektywny, pochodzący od człowieka, który był w te wydarzenia zaangażowany. Byłem zaangażowany podwójnie. Działiałem najpierw na rzecz porozumienia, a potem broniłem stanu wojennego.

Inną kwestią odróżniającą rok 1956 od 1981 jest fakt, że po 1956 r. Gomułka zmarnował efekty 1956 r., podczas kiedy po 1981 r. Jaruzelski nie zmarnował możliwości, które tkwiły w stanie wojennym. Nie tylko dzięki doprowadzeniu do „okrągłego stołu”. Oczywiście, „okrągły stół” to jest taki szczególny tytuł dla niego do chwały, i słusznie. Gdyby jednak nawet przyjąć, że nie doszło do „okrągłego stołu” i zatrzymać się nad rozwojem wydarzeń do roku 1986, to i tak w ciągu pięciu lat po wprowadzeniu stanu wojennego Polska zmieniła się w istotny sposób na lepsze. W ciągu pięciu lat po 1956 r. Polska w istotny sposób zmieniła się na gorsze. Nie było może tak źle jak na przykład w 1968 r., ale wystarczająco źle, by mówić o regresie.

Ostatnią kwestią, obecną w zagajeniu dyskusji, jest relacja między oficjalną historiografią a spontanicznymi odczuciami. Jest to problem bardziej dla socjologa aniżeli dla historyka. Uderzające jest, jak historiografia jest nieskuteczna.

Andrzej Friszke - W PRL było podobnie.

Jerzy Wiatr - Oczywiście. W latach sześćdziesiątych Barbara Szacka robiła badania nad świadomością historyczną. I co się okazało? Mimo istnienia wówczas prawdziwego monopolu informacyjnego okazało się, że najbardziej zasłużonym Polakiem był dla ówczesnie żyjących Józef Piłsudski. Odnosząc się więc do kwestii, dlaczego spontaniczne oceny kształtują się inaczej niż historiografia, myślę po prostu, że to się dokonuje na innym poziomie świadomości. Masowa świadomość nie kształtuje się przez lekturę artykułów naukowych bądź popularnych, bądź też nawet przez media. Jeśli ludzie oglądają coś czy słuchają jakiegoś programu, to nie po to, by się czegoś dowiedzieć, lecz by sprawdzić, czy mówca mówi „słusznie”. Jeśli któryś z panów mówi, że stan wojenny był niesłuszny, bo nie było groźby interwencji sowieckiej, a widzowie są przekonani, że była, to wówczas większość argumentacji idzie mimo uszu. Podobnie jak kiedyś mimo uszu szło, że Piłsudski do Brześcia sadzał posłów, gdzie ich nawet bito. Ludzie mieli już wyrobione zdanie i wiedzieli, że Piłsudski był wielkim patriotą.

Paweł Machcewicz - Chciałbym odpowiedzieć na pytanie pana profesora Wiatra, dlaczego w cytowanym wywiadzie nie ma wzmianki o zachowaniu wojska w 1956 r. Stało się tak dlatego, że w poprzednim „Biuletynie” był wywiad z Krzysztofem Persakiem poświęcony stosunkom polsko-radzieckim i cały ustęp

dotyczył tej właśnie kwestii. Pan profesor poruszył sprawę bardzo skomplikowaną i mało zbadaną. Opieramy się jedynie na relacjach niektórych wojskowych o tym, jakie były ich intencje w październiku 1956 r. Nie chcę tych relacji negocjować, ale sprawa, moim zdaniem, nie jest do końca wyjaśniona. Jest uzasadnione przypuszczenie części historyków, że KBW zostało ściągnięte do stolicy jeszcze przed przylotem delegacji radzieckiej, aby stłumić demonstracje uliczne, gdyby do nich doszło. Obawiano się wybuchu społecznego podobnego do wydarzeń poznańskich. Nie mogę się też zgodzić z panem, że historycy wrzucają do jednego worka Bermana i Freya-Bieleckiego. Jeżeli tak robi Stefan Niesiołowski, czy ni to jako polityk. Natomiast jeśli się weźmie wszystkie poważne prace o 1956 r., zawsze znajdzie się tam rozróżnienie między na przykład Jerzym Morawskim a Zenonem Nowakiem. W pracy historycznej dotyczącej z kolei lat osiemdziesiątych każdy poważny historyk dostrzega różnice między Hieronimem Kubiakiem a Mirosławem Milewskim. Wydaje mi się, że mylimy pewne poziomy dyskusji, mieszając wypowiedzi publicystyczne czy wręcz polityczne z wypowiedziami historyków.

Andrzej Friszke – Sądę, że mówiąc o mass mediach nadmiernie koncentrujemy uwagę na telewizji. Jeżeli spojrzymy na prasę, obraz historii PRL będzie już bardziej zróżnicowany. Jeżeli spojrzymy na teksty o historii najnowszej zamieszczone w „Gazecie Wyborczej”, dodatku do „Rzeczpospolitej” „Plus-Minus”, w „Polityce”, w „Życiu”, nie mówiąc już o miesięcznikach, uzyskuje się obraz wielobarwny. Zarzut o prezentowanie uproszczonych ocen odnosi się więc przede wszystkim do telewizji, która jest medium specyficznym. Nastawienie na pewną sensacyjność i spolaryzowanie opinii odgrywa bez wątpienia pierwszoplanową rolę, bo to przyciąga widza. Jest to generalna cecha kultury masowej. Niemniej jednak mam wrażenie, że w telewizji bardzo rzadko mówi się o historii PRL. Częściej mówiono o niej kilka lat temu, choć wiele tych programów było niedobrych, zanadto propagandowych.

Odnośząc się do omawianej przez pana profesora postawy „realistów” w obrębie aparatu władzy, zgadzam się, że przez cały okres PRL stanowili oni bardzo ważny element sytuacji. Co więcej, w momentach kryzysowych tworzyli rodzaj osmozy między ludźmi opozycji a ludźmi władzy, przyczyniając się do łagodzenia dramatycznych konfliktów. Myślę tu o roku 1956, bardzo zresztą specyficznym, czy o latach 1980–1981. Realisci umożliwiali przepływ informacji, łagodzenie napięć, mediację, aczkolwiek obóz realistów przybierał na znaczeniu dopiero w momencie, kiedy był duży napór na władzę – w roku 1956, w latach 1980–1981 i pod koniec tej dekady. To, co pan profesor mówił o sytuacji po 1956 r., potwierdza tylko tę tezę, że gdy słabnie napór społeczny, centrum władzy robi również porządek z realistami. Zmuszano ich do milczenia, pozbawiano wpływów lub wręcz mianowano opozycjonistami i usuwano ze znaczących politycznie pozycji. Szczególnie widoczne stało się to po Październiku i trwało aż do końca lat sześćdziesiątych. Grupa „realistów”, nazywanych również liberałami, straciła wpływ na podejmowane przez władze decyzje. W pierwszych latach rządów Gierka wpływ ten zwiększył się, ale następnie znów osłabł. Potem ludzie bliscy „liberałom” znaleźli się w kręgu oddziaływania Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, które jednak było odległe od centrów władzy. Dopiero wybuch społeczny z 1980 r. spowodował zapotrzebowanie na „realistów”, którzy sugerowali władzy podjęcie głębszych reform. Dzięki istnieniu „Solidar-

ności” stali się oni czynnikiem bardziej znaczącym. Moim zdaniem pozycja „realistów” była pochodną nacisku społecznego. Im większy był ten nacisk, tym większe było znaczenie „realistów”.

Andrzej Paczkowski – Wydaje mi się, że lepiej w tym kontekście mówić o reformatorach, bo oni chcieli zmieniać system. Postawa realistyczna zakładałaby raczej dopasowanie do sytuacji.

Andrzej Friszke – Zgoda. Natomiast nie zgodziłbym się z tezą pana profesora Wiatra, że w 1956 r. większość społeczeństwa nie opowiadała się za odrzuceniem systemu komunistycznego i nie występowała przeciwko ZSRR. Jest faktem, że zachowania opisywane przez pana profesora były charakterystyczne dla środowisk elitarnych, które dominowały na wiecach i zgromadzeniach. Mamy jednak takie fakty, jak demonstracje pod konsulatami radzieckimi czy niszczenie urzędzeń zagłuszających, które mogły stać się zapowiedzią ostrzejszych wystąpień. Paweł Machcewicz jest autorem monografii opartej na materiałach własnych władz bezpieczeństwa. Z tych raportów wynika, że władza zauważała wśród społeczeństwa silne odruchy antyradzieckie i antykomunistyczne. Dodajmy, że nie oznacza to automatycznie, iż miały one charakter demokratyczny, a raczej narodowy i antysowiecki. To wszystko zostało zahamowane przez interwencję sowiecką na Węgrzech. Trudno wnioskować, jak by się to dalej rozwinęło, gdyby do interwencji nie doszło. Z jednej strony społeczeństwo przestraszyło się, z drugiej strony nie bez znaczenia była postawa kardynała Wyszyńskiego, który odmówił wsparcia tego wyraźnie antykomunistycznego nurtu.

Przypatrując się jednak tym uczestnikom wydarzeń, którzy w 1956 r. dążyli nie do obalenia systemu, lecz chcieli go reformować, można zauważyć dwie istotne kwestie. Po pierwsze, nie były jeszcze znane granice korekty systemu. Październik był bowiem pierwszą taką próbą zmiany, pierwszą destalinizacją. Z drugiej strony reformatorzy byli świadomi sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, jak choćby faktu, że w Moskwie również zachodzą reformy. Sytuacja międzynarodowa była oczywiście sprzyjająca tylko do momentu sowieckiej interwencji na Węgrzech. Te dwie kwestie odróżniają, moim zdaniem, wydarzenia w 1956 r. od wydarzeń w 1981 r.

Nie mogę się zgodzić z tezą, że w 1981 r. ruch solidarnościowy chciał obalić system. Ja bym tak nie powiedział, wydaje mi się, że był to tylko jeden z nurtów w „Solidarności”. Faktycznie, zaczął on przybierać na sile od połowy 1981 r., ale wcześniej był słaby. Ruch solidarnościowy zmierzał raczej do istotnej korekty systemu. Nie było natomiast jasne, jak ta korekta ma wyglądać. Uważano, że miała to być jakaś głęboka reforma systemowa oparta na zasadzie porozumień społecznych i odejścia od monopolu władzy PZPR. Wydaje się – tu jestem w jakimś stopniu adwokatem centrum władzy – że trudno było rządzącym odnieść się pozytywnie do tych planów korekty, gdyż nie było przyzwolenia Moskwy dla reformy systemowej. Brak klimatu międzynarodowego sprzyjającego zmianom odróżniał lata 1980–1981 od wydarzeń październikowych.

Andrzej Paczkowski – W Biurze Politycznym również nie było właściwego klimatu.

Andrzej Friszke – To także jest niestety prawda. Protokoły Biura Politycznego są niestety dość przykrą lekturą, bo wynika z niej, że nie zastanawiano się nawet teoretycznie nad jakimiś możliwościami głębszych zmian i autentycznym kompromisem z „Solidarnością”. Nie rozważano nawet takiej korekty ustro-

ju politycznego, która nie prowadziła do zagrożenia jego podstaw. Brak więc było dyskusji nad uelastycznieniem ordynacji wyborczej, dopuszczeniem do udziału w życiu publicznym różnych naprawdę samorządnych stowarzyszeń itp. W dyskusjach członków Biura Politycznego bardzo słabo odbija się myśl reformatorów partyjnych, których przecież w latach 1980–1981 nie brakowało.

Odnosząc się z kolei do stwierdzenia pana profesora, że generał Jaruzelski nie zmarnował czasu po wprowadzeniu stanu wojennego, myślę, że również tu trzeba mieć na uwadze czynnik zewnętrzny. Generał Jaruzelski nie mógłby doprowadzić do „okrąglego stołu”, gdyby nie było Gorbaczowa w Moskwie. Z Moskwy zaczęło wtedy płynąć przyzwolenie na istotne korekty.

Tu z kolei dotykamy kwestii suwerenności. Wydaje się, że po 1956 r. większość decyzji państwowych, często fatalnych, była podejmowana nad Wisłą, zapewne po wcześniejszych konsultacjach. Suwerennie została również podjęta tak ważna decyzja, jak podpisanie porozumień sierpniowych. Zakres suwerenności nie był tak znaczny, by podejmować próby wprowadzania istotnych korekt ustrojowych. Moskwa ostro atakowała rewizjonizm czy potem eurokomunizm jako „kapitalistyczną dywersję”. Musiały dopiero przyjść głębokie przemiany w ZSRR, by polscy reformatorzy, czy jak ich określaliśmy: „realiści”, mogli zacząć wprowadzać swoje koncepcje w życie.

Antoni Dudek – Odnosząc się do kwestii poruszonych przez pana profesora Wiatra, chciałbym powiedzieć, że trochę zaniepokoiło mnie stwierdzenie, iż zgadza się pan z artykułem Andrzeja Friszke. Pomyślałem sobie, że ja też się zgadzam, o czym więc będziemy dyskutować. W dalszej części rozmowy zarysowały się już jednak pewne rozbieżności. Różnica między nami tkwi w pewnych fundamentalnych sprawach, ale tkwi również w słowach. Pierwszą kwestią jest podnoszona przez pana profesora – w artykule opublikowanym w „Gazecie Wyborczej” – teza o rzekomym monopolu prawicy w środkach masowego przekazu, monopolu na formułowanie ocen PRL. Z takim postawieniem sprawy się nie zgadzam, bo to uprawnia do czynienia analogii z epoką PRL, gdzie mieliśmy do czynienia z rzeczywistym monopolem jednej opcji w dyskusjach publicznych. Zgadzam się natomiast z bardziej wyważoną wypowiedzią pana profesora, wyrażoną już w trakcie naszej rozmowy, że po 1989 r. pewna tendencja zaczęła w dyskusji o naszej przeszłości dominować.

Pan profesor nie jest zadowolony z dominacji krytycznej oceny dziejów PRL i określa ją – moim zdaniem upraszczając sprawę – mianem prawicowej. Ja zaś jestem z tego stanu zadowolony i mam nadzieję, że się on nie zmieni. Jeśli bowiem historiografia w chociaż niewielkim zakresie rzeczywiście kształtuje świadomość społeczną, a przynajmniej świadomość elit, zaproponowane przez pana spojrzenie na historię PRL, które ja określam jako pewną próbę relatywizacji, jest szkodliwe dla polskiej demokracji. System demokratyczny bowiem jest w naszym kraju bardzo słaby i w niewielkim tylko stopniu zakorzeniony w społeczeństwie. Jeśli więc zaczyna się relatywizować moralną ocenę systemu totalitarnego czy też autorytarnego, jaki istniał w Polsce przed 1989 r., wówczas podkopuje się jeden z fundamentów polskiej demokracji. Nie sądzę oczywiście, by pan profesor był przeciwnikiem demokracji. Jeśli jednak jest ona dla pana tak samo ważna, jak i dla mnie, musimy epokę dyktatury wspólnie i jednoznacznie potępić. Możemy się różnić w ocenie poszczególnych wydarzeń, i to jest naturalne. Inaczej możemy oceniać wydarzenia roku 1956, 1968, a zwłaszcza lata

kryzysu 1980–1981. Jeśli jednak stoimy obaj na gruncie porządku demokratycznego, ocenę bilansu końcowego tamtej epoki powinniśmy mieć wspólną i powinna być ona krytyczna.

Skoro nie monopol, to co powoduje dominację krytycznego nurtu w ocenie PRL? Czytając prace historyczne najmłodszych badaczy, urodzonych już w latach siedemdziesiątych, zauważam, że są one równie krytyczne jak te pisane przez starszych historyków. I dzieje się tak nie dlatego, że ludzie ci zostali ukształtowani przez oceny i opinie wyniesione z książek profesora Roszkowskiego, bo ich promotorzy i opiekunowie naukowemu wywodzą się z różnych szkół i mają różne poglądy polityczne. Powód jest inny: obraz PRL, jaki wyłania się z dokumentów PZPR czy aparatu państwowego, nie przystaje do tego, co zwykło się uważać w III Rzeczypospolitej za właściwe i normalne. Komuś, kto dorastał w systemie demokratycznym i gospodarce rynkowej, tamten ustrój musi się wydawać nieludzki lub co najmniej absurdalny. I dlatego myślę, że prace naukowe dotyczące PRL będą za dziesięć czy dwadzieścia lat co najmniej równie krytyczne, jak te powstałe w latach dziewięćdziesiątych. Za sto czy dwieście lat będzie to wszystko rozpatrywane już w innym wymiarze, co nie oznacza, że nie będzie sporów wśród naukowców. Mediewiści nadal przecież mogą się spierać o rzeczywisty sens konfliktu biskupa Stanisława z Bolesławem Śmiałym. Nie ma to jednak – w przeciwieństwie do sporu o PRL – żadnego znaczenia dla kondycji obecnego porządku demokratycznego.

Uważam, nawiązując do cytatu z artykułu Rafała Matyi, którym Andrzej Friszke zakończył swój tekst, że w ciągu najbliższych lat wszyscy aktorzy życia publicznego powinni określić się wobec problemu spuścizny PRL-u. Uważam, że bez jednoznacznej oceny moralnej okresu Polski Ludowej brak będzie rzeczywistej podstawy do dialogu. Nie chodzi tu bynajmniej o porozumienie, lecz właśnie o możliwość konstruktywnego dialogu.

Jerzy Wiatr – Zgadzam się, że potrzebna jest jednoznaczna ocena moralna dyktatury. Nie kwestionuję, że jest to bardzo potrzebne demokracji. Natomiast, moim zdaniem, jeśli dokonuje się oceny PRL bez uwzględnienia warunków, w jakich działali ludzie, szkodzi to demokracji. Tworzy bowiem przekonanie, że istnieje pewna klasa ludzi, która nie jest godna, by traktować ją jako partnera w systemie demokratycznym.

Antoni Dudek – Jednak ci ludzie już rządzą III Rzeczpospolitą i znów zaczynają nią rządzić.

Jerzy Wiatr – Właśnie o to mi chodzi. Jeśli mówimy o konieczności pojęcia cenzury, wsadzania ludzi do więzień, absolutnie się z tym zgadzam. Napisałem to sto razy i mogę napisać jeszcze dwieście. Natomiast, jeśli przedstawia się sprawę tak, że osoby uczestniczące w rządzeniu PRL są gorszymi Polakami, nie służy to wcale demokracji. Dlaczego pan dr Dudek uważa, że demokracja jest słaba? Ja również uważam, że demokracja jest słaba. Jest słaba dlatego, że przez Polskę przechodzi głęboki podział, który nie ma nic wspólnego z różnicami programowymi, a dotyczy kwestii historycznych. Rodzi to wiele konsekwencji praktycznych, uniemożliwiając na przykład tworzenie programowych koalicji. Wychodzi się później na tym tak, jak Unia Wolności wyszła na swojej polityce. Jeszcze raz powtórzę: z faktu, że system jest oceniany negatywnie, nie musi wynikać równocześnie negatywna ocena wszystkich zaangażowanych w ten system ludzi. Trzeba bowiem pamiętać, że ów system został Polsce narzucony i że

część ludzi działających w nim nie ponosi za niego odpowiedzialności. Innymi słowy: Aleksander Kwaśniewski nie stworzył tego systemu.

Antoni Dudek – Zgadzam się, tylko Aleksander Kwaśniewski i ludzie od niego starsi dokonali kiedyś jakiegoś wyboru i pozostaje pytanie, czy można oddzielić system od ludzi, którzy w nim działali. Jest to, moim zdaniem, fundamentalna kwestia.

Jerzy Wiatr – W kwestii, że system PRL był zły, już się zgodziliśmy. W tej sprawie panuje między nami zgoda. Gdyby ktoś próbował wprowadzać go siłą, pójdziemy razem na barykady, by z nim walczyć. Jednak, czy z tego, że Leszek Miller był członkiem Biura Politycznego KC PZPR wynika nieszczęście, gdy wyborcy czynią go premierem? Moim zdaniem, nie. Mówię tak nie dlatego, że jestem członkiem SLD. Jeśli bowiem Leszek Miller nie ma osobiście nic na sumieniu, to dlaczego fakt, że znajdował się po innej stronie niż opozycja demokratyczna ma go dyskwalifikować? Jeśli nie zdyskwalifikowało go to w oczach wyborców, dlaczego miałoby go dyskwalifikować w oczach historyków? Czy negatywna ocena systemu, której zresztą dokonał kilkakrotnie prezydent Kwaśniewski, stanowi wystarczające uzasadnienie dla nieobecności przedstawicieli Episkopatu na uroczystości zaprzysiężenia demokratycznie wybranego prezydenta? Czy to nie osłabia demokracji?

Paweł Machcewicz – Czy pan profesor nie uważa, że może być uzasadniony niepokój historyków czy ludzi związanych z drugą stroną sceny politycznej, że co prawda Leszek Miller nie zrobił prawdopodobnie nic niegodziwego, ale w jego zapleczu politycznym są ludzie, którzy robili rzeczy niegodziwe i którzy nie uważają, że powinni się tego wstydzić. Co więcej, używających zupełnie innego niż pan profesor języka przy ocenie PRL. Może jest potrzebny mocny głos takich ludzi jak pan, przypominających, czym był tamten system – że był dyktatura.

Jerzy Wiatr – Zgadzam się i nie wykluczam, że może istnieć ryzyko rewanżyzmu ze strony osób, które wcale nie uważają, iż tamten system był zły. Co jednak szkodzi demokracji? Moim zdaniem demokracji przeszkadza najbardziej tworzenie atmosfery przepaści, której podstawą nie jest stosunek do demokracji, lecz okoliczność, kto był, a kto nie był w demokratycznej opozycji. Konsekwencją tej manichejskiej wizji historii, o której pisałem w „Gazecie Wyborczej”, jest stawianie znaku równości między mną a generałem Milewskim. Ja jestem na to odporny, ale jeśli ktoś mniej odporny byłby poddawany przez dwanaście lat takim zabiegom, to mógłby przyjąć, że rzeczywiście więcej go łączy z partyjnym „betonem” aniżeli z demokracją. Inna rzecz, czy byłaby to konstatacja prawdziwa.

Andrzej Friszke – Pojawiają się jednak z „drugiej strony” działania, które mogą służyć podtrzymywaniu takiej wizji historii. Przykładem może być artykuł Adama Łopatki w zbiorze *Polska pod rządami PZPR*. Szczerze mówiąc dziwię się, że redaktor tego tomu zdecydował się na druk takiego tekstu. Drugi przykład – artykuły zawarte we wrześniowym „Dziś” rzucają czytelnikiem o ścianę i bynajmniej nie są to bieżące komentarze polityczne. Jest tam na przykład artykuł *Jan Paweł II a polityka Reagana*, napisany w takiej konwencji, że musi budzić oburzenie. A przecież nie jest to pismo pokroju „Nie”. Wydaje mi się więc, że jednostronność w ujmowaniu historii bywa charakterystyczna dla obu stron.

Jerzy Wiatr – Zgadzam się. Tylko że najsurowszą recenzję książki Czubińskiego to ja napisałem. Chciałbym przeczytać równie surową recenzję książki Wojciecha Roszkowskiego napisaną przez pana prof. Andrzeja Paczkowskiego.

Andrzej Paczkowski – Napisałem wewnętrzną recenzję z wieloma krytycznymi uwagami, ale w momencie kiedy książka się ukazała, byłem podwładnym prof. Roszkowskiego w ISP PAN i nie wypadało recenzować publicznie swojego szefa. Pochwałę – znaczy, że się podlizuję, zganię – znaczy, że chcę wepchnąć się na jego stanowisko.

Jerzy Wiatr – To był oczywiście przykład. Chodziło mi jednak o to, że dla sensownej edukacji historycznej lepiej było, że to ja recenzowałem książkę Antoniego Czubińskiego aniżeli pan profesor. Choć merytorycznie zrobiłby to pan z pewnością lepiej jako historyk. Gdyby pan to jednak napisał, byłoby to odebrane jako atak polityczny.

Andrzej Paczkowski – Chcę panu profesorowi powiedzieć, że rok temu brałem udział w konferencji, na której z prof. Czubińskim wygłosiliśmy paralelne referaty na temat Polski w czasach Gierka i żadnemu z nas – a przynajmniej mnie – nie sprawiła ta sytuacja specjalnej trudności. Osobiście uważam prof. Czubińskiego za złego historyka dziejów najnowszych Polski. Natomiast jego studia nad Niemcami są, moim zdaniem, bardzo dobre.

Chciałbym jednak przejść do innych kwestii poruszanych w dyskusji. Jedną z nich są motywy ludzkich działań. Uważam, że motywy rządzących PRL są ważniejsze poznawczo niż motywy działań ludzi z opozycji, gdyż ci pierwsi mieli znacznie większy wpływ na wydarzenia. Powiedział pan – „robić w istniejących warunkach wszystko, co możliwe dla Polski”. Jest to motyw, który się często przewija, niezależnie od realiów politycznych. Zawsze są środowiska, które chcą robić coś pozytywnego. Moje zastrzeżenia budzi jednak fakt nadmiernego uwypuklania tego akurat motywu. Rzadko tak bywa, by jednostka, a tym bardziej grupa ludzi kierowała się tylko jednym motywem. Jeden motyw może być przeważający w nadzwyczajnych sytuacjach – wybucha wojna i ludzie idą na front z powodów patriotycznych (ale i wtedy inni idą na front, bo jest przymus służby, a może są i tacy, którym się wydaje, że to fajna przygoda). Badanie motywów działania jest wielkim zadaniem dla historyków. Być może łatwiej byłoby to zrobić historykom, którzy znają PZPR od środka, bo w niej tkwili. Ale zapewne opiszą to dopiero młodzi historycy, raczej na podstawie archiwaliów. Zapewne dojdą do wniosku, że różne były motywacje działań – patriotyczne, ideologiczne, ambicjonalne.

Mój spór z Andrzejem Walickim dotyczy między innymi tego, czy w ruchu komunistycznym, a ściślej rzecz biorąc w PZPR, istotna była po 1956 r. motywacja ideowa. Jego zdaniem przestała odgrywać jakiegokolwiek znaczenie. Moim zdaniem przynajmniej dla części osób była ważna. Ale przecież i w czasach stalinowskich nie wszyscy członkowie partii komunistycznej znajdowali się w niej dlatego, że wierzyli w marksizm-leninizm i w obiecany skok do królestwa wolności. Byli też konformiści, a nawet zapewne po prostu tchórze. Nie wykluczyłbym też, że były i osoby, które chciały schować się za legitymacją, aby uniknąć prześladowań czy kłopotów z racji na przykład bycia oficerem AK. Byli też kolarboranci, którzy uciekali „pod latarnię”, gdzie – jak wiadomo – jest najciemniej. O ile się nie mylę, to jedna z osób skazanych w 1949 r. za zbrodnię w Jedwabnem zapisała się do PPR. Znaczenie miały również ambicje. Kończąc pisać książ-

kę o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego, jestem po świeżej lekturze licznych dokumentów, w wielu czuje się wyraźnie, jak w ścisłej elicie władzy (tym się w tej książce zajmuję) „buzowało” od jednostkowych ambicji. Może nie była to główna motywacja, ale na pewno istotna. Z całą pewnością jest to ważne pole badawcze, choć nienowoczesne, gdyż tyczy się elit, a nie społeczeństwa.

Innym ciekawym problemem byłoby badanie relacji władza–społeczeństwo. Czytając dokumenty z lat 1980–1982, parokrotnie natknąłem się na postrzeganie przez władze relacji ze społeczeństwem w kategoriach dychotomii – my i społeczeństwo. Nawet w dokumentach MSW, które na ogół uważane są za bardzo silnie zideologizowane. Gdy w końcu lat osiemdziesiątych generał Jaruzelski zarzucał – i słusznie – opozycji, że uzurpuje sobie prawo do reprezentowania społeczeństwa, zapominał, że ludzie władzy wielokrotnie postrzegali tę władzę jako niereprezentatywną. (Na marginesie: być może dzisiejsza spoistość SLD ma charakter atawistyczny, wywodzi się z tamtych lat, kiedy to PZPR musiała być zwarta, gdyż jej członkowie musieli zachować jedność wobec odrzucającej ich większości społeczeństwa). Problem legitymizacji i „chęci bycia kochanym” to też ciekawy obszar badawczy. Wydaje mi się, że wielu działaczy PZPR, także czołowych, chciało czegoś więcej niż nowej umowy społecznej pod hasłem: „my wam pozwolimy żyć, wy nam pozwólcie rządzić”. Chcieli być kochani przez lud, co daje, jak sądzę, motywację ideologiczną.

Raz jeszcze odniosę się do porównań lat 1956 i 1981. Wydaje mi się, że są to jednak bardzo odległe od siebie sytuacje historyczne i z trudem porównywalne. Gomułka chciał i mógł zapanować w 1956 r. nad całym narodem i dlatego starał się wtedy „nie odrywać” zbyt od mas. Wiedział więc, że eksponowanie zamierzeń zdobycia jak najszerszego zakresu autonomii, co wielu rozumiało po prostu jako dążenie do niepodległości, jest silnym łącznikiem ze społeczeństwem. Oczywiście, że chciał mieć możliwie duże pole manewru dla siebie. „Łączył” się z ludem także krytykując kołchozy czy przywracając Kościołowi katolickiemu pełne swobody duszpasterskie. Jednak przynajmniej w pewnym stopniu była to tylko gra ze społeczeństwem. W 1981 r. generał Jaruzelski nie miał możliwości takiego oddziaływania, bo znaczna część narodu znalazła się poza jego wpływem, a więc raczej musiał używać sowieckiego straszaka, niż „stawiać” się Breżniewowi i mówić o suwerenności. Wyobraźmy sobie, że gen. Jaruzelski zwołuje wiec na placu Defilad i przychodzi tam pół miliona ludzi. Przecież obawiano się nawet, czy uda się pochód pierwszomajowy! Porównania te są bardzo ryzykowne, aczkolwiek kuszące. Podobnie jak porównywanie zamachu majowego ze stanem wojennym.

Edmund Dmitrów – Dr Dudek użył w swojej książce pojęcia „tendencja totalitarna”. Wydaje mi się, że takie ujęcie dziejów PRL łączy dr. Dudka i prof. Jerzego Wiatra. Być może takie podejście do kwestii totalitaryzmu wydaje się najbardziej adekwatne. Chciałbym postawić pytanie, czy paradygmat interpretacji dziejów PRL rozpatrywany w kategoriach totalitaryzmu podlega weryfikacji, a jeśli tak, to w jakim stopniu.

Paweł Machcewicz – Chciałbym powiedzieć kilka słów nie tyle o debacie na temat PRL, ile o samym PRL i odnieść się do roli reformatorów. Zgadzałem się z profesorem Wiatrem i Andrzejem Friszke, że nie można pisać rzetelnej historii PRL bez uwzględnienia roli reformatorów. Zgadzałem się do pewnego stop-

nia z tezą, że ich znaczenie wzrastało w momentach konfliktów społecznych. Ale nie do końca. O ile bowiem rok 1956 jest wielkim sukcesem reformatorów, o tyle rok 1981 jest ich klęską. W 1981 r. nacisk zewnętrzny na partię był być może zbyt silny, aby mogły rozwinąć się w niej tendencje reformatorskie. Moim zdaniem reformatorzy odegrali kluczową rolę w 1956 r. i w latach 1986–1989. W 1956 r. to nie tyle sytuacja na Węgrzech rozładowała wybuchowe nastroje, ile zręczne rozegranie kryzysu politycznego najpierw przez frakcję reformatorów, a potem przez Władysława Gomułkę. Gomułce udało się rozładować nastroje, kiedy stanął na czele ruchu społecznego domagającego się poważnych zmian i zrealizował część jego programu. Patrzymy na Gomułkę przez pryzmat roku 1970 i strzelania do robotników, a zapominamy, jak zręcznym politykiem był w 1956 r. Dużym jego sukcesem było uzyskanie od Moskwy istotnych koncesji dla Polski i niedopuszczenie do interwencji sowieckiej. Inną sprawą jest to, że w następnych latach zmarnowano większość szans i możliwości, prowadzono politykę coraz bardziej represyjną i oderwaną od rzeczywistości, co ostatecznie doprowadziło do tragedii.

Inna była sytuacja pod koniec lat osiemdziesiątych, dlatego że reformatorzy nie działali wówczas pod bezpośrednią presją społeczną: do 1988 r. sytuacja wewnętrzna była względnie stabilna. W latach 1986–1987 w kierownictwie partii zaczęto odwoływać się do opinii eksperckich, zdawać sobie sprawę z sytuacji gospodarczej, pogorszenia nastrojów społecznych i słabnięcia pod wpływem pierestrojki „straszaka radzieckiego”, który wymuszał posłuszeństwo. Zaslugą reformatorów i generała Jaruzelskiego było podjęcie decyzji o reformach systemowych. Inną sprawą jest, że kierownictwo partii utraciło kontrolę nad zainicjowanym procesem zmian, który w krótkim czasie doprowadził do upadku PRL, oczywiście wbrew intencjom rządzących.

Sporządzenie bilansu ekonomicznego PRL nie jest sprawą łatwą. Można przyjąć, że w porównaniu z II RP nastąpił przyrost aparatu wytwórczego, zbudowano więcej hut i fabryk. Fakty te niewiele nam mówią, gdyż wszystkie kraje europejskie bez względu na system rozwijały się – jedne szybciej, inne wolniej. Pierwszym możliwym porównaniem jest porównanie z krajami, które w latach trzydziestych osiągnęły podobny stopień rozwoju jak II RP, czyli Grecja, Hiszpania, Portugalia czy Finlandia, a w 1989 r. znacznie górowały nad Polską pod względem wszystkich istotnych wskaźników gospodarczych.

Inną możliwością byłoby porównanie z krajami rozwijającymi się w podobnych warunkach geopolitycznych i systemowych oraz ocenianie rządzących w Polsce komunistów w tych ramach, w których działali. Z tej perspektywy wydaje się, że część błędnych decyzji ekonomicznych była zawiniona nie tylko przez system, ale przez ludzi je podejmujących. Zdaję sobie sprawę, że na Gomułkę były wywierane potężne naciski z Moskwy, ale mógł jednak, korzystając z wywalczonej przez siebie autonomii działania, wprowadzić w życie część reformatorskich propozycji postulowanych przez Radę Ekonomiczną. Podobnie w latach siedemdziesiątych, zmarnotrawiono kredyty na skalę nie spotykaną w innych krajach socjalistycznych. Fakty te obciążają nie tylko system, ale ludzi realnie wówczas rządzących.

Parę słów chciałbym poświęcić kwestii totalitaryzmu. Uważam, że pojęcie to jest bardzo ważne przy analizie PRL. W Polsce w latach 1947–1954 budowano państwo totalitarne i wprowadzano wzorce sowieckie we wszystkich dzie-

dzinach życia. Potem nastąpiła odwilż – przełom 1956 r., który rozpoczął detotalitaryzację systemu. Pozostała jednak nie tylko tendencja totalitarna, lecz również struktury powstałe w fazie totalitarnej. Moim zdaniem była zasadnicza różnica między komunizmem, nawet w fazie posttotalitarnej, a klasycznymi reżymami autorytarnymi. Zakres kontroli nad różnymi formami życia był w Polsce, nawet u schyłku lat osiemdziesiątych, znacznie większy niż w Hiszpanii generała Franco. Tam nigdy państwo czy partia tak bardzo nie ingerowały w życie ekonomiczne, kulturalne czy społeczne. W PRL niemal do końca trwały posttotalitarne struktury, mimo że nie były już wypełniane totalitarną treścią. Fakt ten determinował w znacznej mierze rzeczywistość, w której funkcjonowali zarówno aktorzy obozu rządzącego, jak i opozycji.

Edmund Dmitrów – Byłaby to więc bardziej strukturalna niż funkcjonalna wykładnia totalitaryzmu.

Andrzej Paczkowski – Ja bym dodał do tego tylko to, że na przykład pod koniec lat trzydziestych, w II RP, kiedy były liczne mniejszości przejawiające tendencje irredentystyczne (parę milionów Ukraińców), działała konspiracyjna partia komunistyczna, dochodziło do aktów terroru, łącznie z zabójstwami najwyższych urzędników państwowych, Polska miała jako sąsiadów dwa wrogie mocarstwa i złe stosunki z dwoma innymi sąsiadami, w policji politycznej zatrudnionych było niespełna dwa tysiące funkcjonariuszy (na ogólną liczbę około 35 tys. policjantów). Tymczasem w połowie lat siedemdziesiątych, gdy nielegalna – choć w większości jawna – opozycja nie miała więcej niż kilka tysięcy uczestników i sympatyków, gdy jedynym aktem sabotażowym było wysadzenie auli szkolnej w nocy, tak aby nikt nie zginął, a otaczały nas bratnie kraje, SB miało ponad 20 tys. funkcjonariuszy (plus milicja, ORMO, Jednostki Nadwiślańskie). Pod koniec istnienia PRL w SB było chyba więcej funkcjonariuszy niż w całej policji w II RP, przy porównywalnej liczbie ludności. Jest to jeden z dowodów, że nigdy nie rozmontowano tej podstawowej totalitarnej struktury, jaką jest policja polityczna. Nawet jeśli niekiedy ograniczano jej liczebność (w 1957 r. do 13 tys.), nigdy nie trwało to długo. Gomułka chyba nie lubił „ubeków”, ale byli mu potrzebni.

Jerzy Wiatr – Można się oczywiście przerzucać statystykami, bo w Polsce według rocznika statystycznego liczba więźniów politycznych wynosiła kilka tysięcy. Pomijając okres stalinowski, było to porównywalne jedynie ze stanem wojennym. Zgadzam się jednak z tezą, że elementy totalitarne tkwiły w tym systemie do końca. Tendencje totalitarne istniały oczywiście nie tylko w umysłach ludzi, lecz także przejawiały się w strukturach. Zgadzam się również z tezą pana profesora Friszke, że znaczenie reformatorów miało związek z naciskami społecznymi, a wzrost znaczenia reformatorów w drugiej połowie lat osiemdziesiątych był pochodną nacisków „Solidarności”. Fala solidarnościowa została wprawdzie opanowana, ale nie zniszczona. Przyływ tendencji reformatorskich był w jakiejś mierze związany z działalnością Gorbaczowa, ale była to także reakcja na rosnące od 1985 r. przekonanie, że czas przestał pracować na korzyść obozu władzy i potrzebne jest jakieś nowe otwarcie.

Andrzej Paczkowski – Można wspomnieć dwa dokumenty, ilustrujące poniekąd tę tezę o przemianach mentalnych w obozie władzy. Jerzy Urban w liście do Stanisława Kani, w styczniu 1981 r., proponował działania socjotechniczne, aby rozładować nastroje społeczne. W memoriale zaś Mieczysława Rakowskiego z 1987 r., też kierowanym do I sekretarza, znajdują się propozycje

nowego kształtu państwa. Nie miała to być, oczywiście, demokracja parlamentarna stowarzyszona ze „społeczną gospodarką rynkową”, ale jednak już nie zamordyzm.

Jerzy Wiatr – Moje wspomnienia z końca 1986 r. z kontaktów z ówczesnymi przedstawicielami władz wyraźnie wskazują na wolę podjęcia jakichś działań ze strony władz. Nie było już wówczas poczucia, że to się jakoś samo rozwiąże.

Antoni Dudek – Wymieniona przez pana profesora data wyraźnie wskazuje na zależność sytuacji w Polsce od wydarzeń w ZSRR. Było to bowiem w ponad rok po rozpoczęciu pierestrojki, kiedy Gorbaczow umocniwszy się na Kremlu, zaczął mówić nowe rzeczy.

Paweł Machcewicz – Wydaje mi się, że duże znaczenie miały również pogarszające się wskaźniki gospodarcze.

Andrzej Friszke – We wspomnieniach profesora Baki, który zarówno tworzył, jak i opisywał gospodarkę PRL w latach osiemdziesiątych, pojawia się informacja, że w latach 1983–1986 r. nastąpiła ostra kontrakcja „betonu” partyjnego, również w sprawach gospodarczych. Obok sytuacji zewnętrznej także niepowodzenia reform gospodarczych otworzyły reformatorom drogę. Generalnie myślę, że są dwie fundamentalne cezury dla dziejów PRL, zarówno gdy chodzi o kwestię totalitaryzmu, jak i suwerenności. Pierwszą datą jest niewątpliwie 1956 r., w tym roku społeczeństwo zyskuje pewną autonomię wobec władzy. Pojawia się większy margines swobody wypowiedzi oraz możliwości działania Kościoła katolickiego. Chociaż w latach rządów Gomułki Kościół był przedmiotem wielu ataków i szykan, a nacisk ateizacyjny trwał bardzo długo, to jednak władze godziły się z faktem, że Kościół pozostanie czynnikiem od nich niezależnym i wpływowym społecznie. W dziesięcioleciu rządów Gierka Kościół zostanie stopniowo uznany za potężny czynnik stabilizacji społecznej i jednak za partnera władzy. Fakt ten będzie miał olbrzymie znaczenie pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy Kościół zacznie pełnić funkcję mediatora między władzą a zbuntowanym społeczeństwem. Po 1980 r. pojawił się z kolei także partner polityczny, z którym identyfikuje się dotychczas zatomizowane społeczeństwo, a przynajmniej jego większość.

Andrzej Paczkowski – W tym kontekście istotne jest pytanie, w jakim stopniu władza chciała po 13 grudnia wyeliminować opozycję, a w jakim ją tylko zneutralizować.

Jerzy Wiatr – Wydaje mi się, że pierwotnie chciano dokonać jej neutralizacji poprzez zawarcie jakiegoś porozumienia z mniej radykalną częścią. Kiedy jednak opozycja zwarła szeregi, postanowiono ją w ogóle wyeliminować z życia społecznego. Kiedy to się nie powiodło, rozpoczęto dialog.

Antoni Dudek – Chciałbym krótko poruszyć trzy kwestie, głównie ustosunkowując się do wcześniejszych wypowiedzi profesora Wiatra. Wydaje mi się, że jest bezspornym faktem, iż stan wojenny mógł być przeprowadzony bardziej krwawo i że lata osiemdziesiąte w porównaniu do okresu po 1956 r. mają odwrotną sekwencję wydarzeń: droga wiedzie nie od kompromisu do represji, lecz od represji do kompromisu. Jeśli jednak chodzi o bilans społeczno-ekonomiczny, dekada rządów Jaruzelskiego była najbardziej nieudanym okresem w dziejach PRL. Zmarnowano wówczas najwięcej szans. Gierek miał 20 mld dolarów długu, ale mimo ogromnego marnotrawstwa coś za to zbudowano. W cza-

sach generała Jaruzelskiego dług wzrósł natomiast o kolejne 20 mld, ale były to tylko odsetki od niespłaconych kredytów. Był to czas wielkiej beznadziei, który zaowocował między innymi tym, że Polskę opuściło około miliona obywateli, w sporej części młodych i dobrze wykształconych. Odnosząc się zaś generalnie do bilansu społeczno-gospodarczego PRL, chciałbym powiedzieć, nie kwestionując pewnych dokonań w tym okresie, że jest on w moim przekonaniu ujemny z powodów wymienionych już przez przedmówców. Idealizowanie osiągnięć PRL – czego byliśmy świadkami także podczas ostatniej kampanii wyborczej – jest niebezpieczne i może skutkować zakwestionowaniem większości sensownych posunięć ekonomicznych i wyrzeczeń podjętych w Polsce po 1989 r. Mówienie, że bilans ekonomiczny PRL jest dodatni, że ludziom w sumie żyło się wówczas lepiej niż obecnie, to wsparcie dla sił populistycznych wierzących, że z pomocą kilku prostych działań można będzie przywrócić gierkowskie eldorado.

Nie wydaje mi się też, w przeciwieństwie do tego, co mówił pan profesor Wiatr, że można tak do końca oddzielić ocenę systemu dyktatorskiego od oceny ludzi w nim działających. Co oczywiście nie oznacza, że tym ludziom winno się odbierać prawa polityczne i tak przecież nie jest. Co więcej: oni rządzili, rządzą i spora część społeczeństwa ich popiera. Pozostaje jednak problem natury moralnej. Za kilka lat ludzie urodzeni po 1989 r. zaczną nam, historykom, zadawać pytanie: jak to możliwe, że równo mamy oceniać tych, którzy walczyli z dyktaturą i tych, którzy ją współtworzyli? To, czego mi najbardziej brakuje u tych ostatnich, to brak konfrontacji z własną przeszłością. A jest ona bardzo ważna dla przyszłości demokracji w naszym kraju. Brakuje mi powiedzenia: wtedy służyłem złej sprawie, dziś służę demokracji.

Jerzy Wiatr – Uważam takie postawienie sprawy za ogromne uproszczenie. Nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że służyłem złej sprawie, bo czy moja działalność w 1956 r. była zła? Zastanawiam się, czy dla Polski byłoby lepiej, gdybym był apolitycznym lekarzem, zamiast być partyjnym rewizjonistą?

Antoni Dudek – Nie chodzi mi o partyjnych rewizjonistów, których w milionowej partii było w najlepszym razie kilkudziesięciu, ale o kilkanaście tysięcy jej funkcjonariuszy, którzy – jak na przykład Leszek Miller – nigdy rewizjonistami nie byli, ale do końca pracowali w służbie dyktatury.

Jerzy Wiatr – Nie zgadzam się na duży kwantyfikator na tezę, że wszyscy, którzy byli związani z tamtym systemem, służyli złej sprawie, chociaż niektórzy służyli. Zgadzam się jednak, że istniał nurt zdrady narodowej, ale był on tylko jednym z kilku, jakie istniały w obozie władzy.

Edmund Dmitrów – Cieszę się, że poruszyliśmy w dyskusji tak wiele kwestii, które zostały zainspirowane tekstem pana docenta Friszke. Uważam również za wartościowe, że udało nam się znaleźć więcej punktów stycznych niż rozbieżności. Dziękuję bardzo za udział w naszej dyskusji.

EDMUND DMITRÓW (1949) – naczelnik OBEP w Białymstoku, docent w Zakładzie Studiów nad Niemcami w Instytucie Studiów Politycznych PAN, członek Rady Naukowej Instytutu Herdera w Marburgu oraz Rady Naukowej ISP PAN, autor m.in. *Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków. Poglądy i opinie z lat 1945–1948* (Warszawa 1982), *Obraz Rosji i Rosjan w propagandzie narodowych socjalistów 1933–1945. Stare i nowe stereotypy* (Warszawa 1997).

ANTONI DUDEK (1966) – naczelnik Wydziału Badań Naukowych, Dokumentacji i Zbiorów Bibliotecznych w Biurze Edukacji Publicznej IPN, adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor i współautor kilkunastu książek z zakresu historii najnowszej Polski. Ostatnio opublikował *Ślady PeeReLu* (Kraków 2000).

ANDRZEJ FRISZKE (1956) – docent w ISP PAN, wiceprzewodniczący Kolegium IPN oraz członek kolegium redakcyjnego „Więzi”, badacz najnowszych dziejów Polski, wykładowca Collegium Civitas, autor m.in. *O kształt niepodległej* (Warszawa 1989), *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (Londyn 1994), *Polska Gierka* (Warszawa 1995), *Oaza na Kopernika: Klub Inteligencji Katolickiej 1956–1989* (Warszawa 1997), *Życie polityczne emigracji* (Warszawa 1999).

PAWEŁ MACHCEWICZ (1966) – dyrektor Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej, badacz dziejów PRL, zimnej wojny oraz historii Europy w XX wieku; autor książek: *Polski rok 1956* (Warszawa 1993), *Władysław Gomułka* (Warszawa 1995), *Historia Hiszpanii* (wraz z Tadeuszem Miłkowskim, Wrocław 1998), *Emigracja w polityce międzynarodowej* (Warszawa 1999), *Kampania wyborcza i wybory do Sejmu 20 stycznia 1957 r.* (Warszawa 2000).

ANDRZEJ PACZKOWSKI (1938) – profesor w ISP PAN, członek Kolegium IPN, wieloletni prezes Polskiego Związku Alpinizmu, autor m.in. *Prasa drugiej Rzeczypospolitej 1918–1939* (Warszawa 1971), *Prasa i społeczność polska we Francji w latach 1920–1940* (Warszawa 1997), *Stanisław Mikołajczyk czyli kłęska realisty* (Warszawa 1991), *Pół wieku dziejów Polski: 1939–1989* (Warszawa 1995), *Od sfalszowanego zwycięstwa do prawdziwej klęski: Szkice do portretu PRL* (Warszawa 1999), współautor *Czarnej księgi komunizmu* (Warszawa 1999), *Droga do „mniejszego zła”* (Warszawa 2001), wydawca wielu tomów źródeł historycznych.

JERZY JÓZEF WIATR (1931) – emerytowany profesor socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektor Instytutu Badań Społecznych i Międzynarodowych Fundacji im. K. Kelleśa-Krauza i redaktor naczelny kwartalnika „Myśl Socjaldemokratyczna”, a także prezydent Central European Political Science Review i członek redakcji kwartalnika „International Political Science Review”. W latach 1949–1990 należał do PZPR, od grudnia 1981 do lutego 1984 był dyrektorem Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR; 1990–1999 – członek SdRP, członek Rady Naczelnej, 1993–1997 – członek Prezydium Rady Naczelnej, 1991–1996 – przewodniczący Rady Warszawskiej. Jest członkiem SLD, wchodzi w skład Krajowej Komisji Etyki. Poseł I, II i III kadencji Sejmu RP. Minister edukacji narodowej w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza (1996–1997).